

Sharon Sala

Pożegnalny list

tłumaczyła
Julita Mirska

SHARON SALA

Pożegnalny list



HARLEQUIN®

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż
Sydney • Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szanowny Panie Malone, kiedy otrzyma Pan ten list, mnie już nie będzie na tym świecie.

Trace Logan wyprostował się gwałtownie, z hukiem opuszczając nogi na podłogę. Zazwyczaj nie otwierał cudzej poczty, ale szef Malone Industries od kilkunastu dni przebywał w domu, kurując się po upadku z konia. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że J.J. Malone skończył niedawno siedemdziesiąt sześć lat.

To ja byłam tą kobietą, która... Trace poderwał się z fotela. Nie dowierzał własnym oczom. ...która zabrała pańską wnuczkę.

Nerwowym krokiem podszedł do olbrzymiego okna, z którego rozciągał się widok na dzielnicę handlową Colorado Springs. Czarne, kłębiące się na niebie chmury zwiastowały nadchodzącą burzę.

Zmarszczywszy czoło, Trace ponownie przysunął kartkę do oczu. Serce mu łomotało, dziesiątki myśli cisnęły się do głowy. Przez moment zastanawiał się nad autentycznością listu. *O niczym nie wie...* pisała dalej nadawczyni. *Ma na imię Honor* – brzmiało ostatnie zdanie. Niżej widniał podpis: *Charlotte O'Brien*.

– Psiakość – mruknął Trace, spoglądając w zadumie na ulice w dole.

Wydarzenie, o którym była w liście mowa, pamiętał jak przez mgłę. Miał wtedy jedenaście, najwyżej dwanaście lat.

Najstarszy syn J.J. Malone'a, John Malone, który zginął później w Wietnamie, miał jedną córkę – Mary Margaret Malone, nazwaną tak na cześć jej babki; na dziewczynkę mówiono pieszczotliwie Megan. Ośmiomiesięczne dziecko ukradziono z wózka w parku. Było to najgłośniejsze porwanie od czasu porwania syna Lindberghów, ale tym razem nikt nie przysłał listu z żądaniem okupu ani nie zadzwonił do rodziców. Mała Megan po prostu rozpląnęła się w powietrzu. Po pewnym czasie policja doszła do wniosku, że dziewczynka albo nie żyje, albo została sprzedana na czarnym rynku jakiejś nieświadomej niczego parze, która sama nie mogła mieć dzieci, a marzyła o córeczce.

Z roku na rok J.J. miał coraz mniejszą nadzieję na odnalezienie wnuczki, aż w końcu zaprzestał poszukiwań. Obecnie prawie wcale o niej nie wspominał.

Wróciwszy do biurka, Trace zaczął przekładać papiery, szukając koperty z adresem nadawcy. Skromny, lecz elegancki nadruk w lewym rogu informował o tym, że list wysłał prawnik mieszkający w Teksasie.

Trace skierował się do drzwi.

– Irene, odwołaj wszystkie moje dzisiejsze spotkania – polecił sekretarce. – Będę w posiadłości Malone’ów.

Kobieta uniosła w zdziwieniu brwi, ale powstrzymała się od komentarza. Od wielu lat pełniła funkcję osobistej sekretarki szefa; gdy dwanaście lat temu Trace Logan dołączył do firmy, została również jego sekretarką.

Westchnęła głośno, patrząc na zatraskujące się drzwi, po czym sięgnęła po terminarz i zaczęła obmyślać wiarygodnie brzmiące usprawiedliwienia.

Wjechał na teren posiadłości Malone’ów i zaparkował przy tylnym wejściu do wspianiałej, zbudowanej w stylu elżbietańskim rezydencji. Poklepał się po kieszeni, sprawdzając, czy nie zapomniał listu, następnie otworzył drzwi i rzucił się pędem w stronę schodków prowadzących do kuchni. Wyprzedził ulewę dosłownie o trzy sekundy.

– Trace Logan! – Trudy Sinclair, zaskoczona niespodziewanym wtargnięciem gościa, przycisnęła rękę do piersi, upuszczając na posadzkę mokre łodygi selera.

– Ojej, wybacz, Trudy, nie chciałem cię przestraszyć. – Trace uśmiechnął się przeprasząco. – Gdybym skorzystał z drzwi frontowych, nie zdążyłbym przed ulewą. A tak dotarłem suchusieńki. – Zerknął na podłogę. – Pomogę ci posprzątać...

Schylivszy się, zaczął zbierać mokre łodygi, ale gospodyni wyrwała mu je z rąk i wskazała na widoczny w głębi hol.

– A sio! Nie życzę sobie, aby ktokolwiek kręcił się po kuchni – oznajmiła, przyciskając seler do fartucha. – I wcale się nie wystraszyłam, po prostu mnie zaskoczyłeś. No, idź! Sama posprzątam. Pan Malone jest w bibliotece. Biegnij do niego, może poprawisz mu humor.

Trace uśmiechnął się pod nosem, patrząc, jak niska, pulchna kobieta krząta się po kuchni.

– Nie musiałyby siedzieć w domu, gdyby zachowywał się jak przystało na siedemdziesięciolatka – mruknęła, wypychając Trace'a na korytarz. – Co za pomysł, żeby w jego wieku jeździć konno!

Trace posłusznie skierował się do biblioteki. Przypomniawszy sobie o celu swojej wizyty, natychmiast spowaźniał.

John James Malone był człowiekiem impulsywnym, który rzadko przyznawał się do porażki czy błędu. I był za stary, by się zmienić. Trace trochę się obawiał jego reakcji na list. Nie pukając, wszedł przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi i przyłapał

J.J. na tym, jak ze srebrnego pojemnika wyjmuje cygaro.

– J.J.?

Wsparty na kulach wysoki mężczyzna o siwych włosach podskoczył, wypuszczając z ręki wieczko. Spadło z brzękiem na podłogę i potoczyło się pod nogi Trace’a.

– Do stu diabłów, chłopcze! – Starzec obejrzał się przez ramię. – Coś ty najlepszego zrobił? Trudy Sokole Oko pewnie usłyszała brzęk i znów przyleci chować mi cygara. A w ogóle to dlaczego nie jesteś w biurze? Coś się stało?

Trace wsunął rękę do kieszeni i wydobyl list.

– Nie, nic się nie stało. Po prostu...

Zawahał się. Nie był pewien, czy słusznie postąpił, przyjeżdżając tutaj. A jeżeli staruszek dostanie zawału? Przecież list od Charlotte O’Brien będzie dla niego szokiem. Może powinien był poprosić Irene, aby wezwała lekarza rodzinnego?

– Po prostu co?

J.J. odłożył cygaro na miejsce, po czym wziął od Trace’a srebrne wieczko i szybko nałożył je na pojemnik. Zdążył, zanim w drzwiach biblioteki pojawiła się gospodyni.

Zmierzyła Malone’a podejrzliwym wzrokiem, zerknęła na skrzyneczkę z cygarami, po czym znów wbiła wzrok w Malone’a. Następnie wciągnęła nozdrzami powietrze, usiłując wyczuć zapach dymu.

– Przyszłam spytać – rzekła – czy czego pan nie potrzebuje?

– Owszem. Odrobiny prywatności – mruknął J.J. Gospodyni odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do kuchni. Staruszek wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Widzisz? Nie mówiłem?

Uśmiech zniknął mu z twarzy, gdy zobaczył wyraz zatroskania malujący się w oczach młodszego mężczyzny.

Trace Logan był synem jego najlepszego przyjaciela, Conrada. Kiedy chłopak skończył studia, J.J. przyjął go do pracy na prośbę ojca. Trace okazał się przedsiębiorczym człowiekiem. Szybko awansował. Teraz, gdy J.J. dochodził do siebie po wypadku, prowadzenie firmy powierzył swemu młodemu zastępcy. Trace radził sobie znakomicie.

– O co chodzi, chłopcze? – J.J. wrócił do przerwanej rozmowy. – Straciliśmy ten kontrakt rządowy, tak? Powinienem być zadzwonić do znajomego w Waszyngtonie, może wtedy...

– Nie, J.J. – przerwał mu Trace. – Sprawa nie dotyczy firmy, ale ciebie. Otworzyłem list, który przyszedł na twoje nazwisko.

– No i dobrze. Przecież upoważniłem cię...

Biorąc głęboki oddech, Trace wyciągnął list w stronę swego przyjaciela, a zarazem szefa.

– Może lepiej usiądź – zaproponował.

J.J. uniósł siwe, krzaczaste brwi.

– Co? Aż tak złe wieści? – Kuśtykając na kulach, doszedł do ulubionego fotela przy kominku. – No dobra, dawaj list.

– Nie, to nie są złe wieści, raczej dobre – sprostował Trace i zajął miejsce w fotelu naprzeciwko. – Może nawet najlepsze, jakie kiedykolwiek w życiu dostałeś. O ile ktoś nie robi nam głupiego kawału.

J.J. obmacał kieszenie na piersi i po chwili wyjął okulary. Nasadziwszy je na długi, haczykowaty nos, spojrział w lewy róg, tam gdzie widniał adres nadawcy. Zerknął na Trace'a, który czekał bez słowa, a następnie wysunął list z koperty. Odchrząknął, poprawił okulary, rozprostował złożoną kartkę i przystąpił do czytania.

Na twarzy starego mężczyzny pojawił się cały wachlarz emocji: szok, niedowierzanie, zrozumienie i wreszcie głęboka, bezgraniczna radość.

Położywszy list na kolanach, oparł głowę o skórzany zagłówek i zamknął oczy. Usta mu drżały. Widać było, że z całej siły stara się powstrzymać szloch.

Trace nie był w stanie dłużej nad sobą zapanować. Pochylił się i położył dłoń na kościstym kolanie swego chlebowodawcy.

– J.J., dobrze się czujesz?

Starzec uniósł powieki, nawet nie próbując otrzeć łez. Zacisnął rękę na dłoni przyjaciela.

– Tak, chłopcze. Czuję się świetnie. Wiedziałem,

że musi być jakiś powód, dlaczego nie umarłem, kiedy odeszła moja Meggie. Przez długi czas byłem wściekły na Boga, że mi ją odebrał. Wściekły jak diabli – dodał, widząc zdziwienie na twarzy Trace’a. – Najpierw skradziono nam malutką Megan. Niecały rok później przyszedł ten cholerny telegram z Departamentu Wojny zawiadamiający nas o śmierci Johnny’ego. Serce mojej Meggie nie wytrzymało. Umarła z rozpaczy.

J.J. sięgnął do kieszeni, szukając chusteczki do nosa. Po chwili z wdzięcznością przyjął chustkę od Trace’a.

– Dzięki. – Wytał nos. – Czyli najpierw Bóg zabrał mi wnuczkę, potem syna, a w końcu ukochaną Meggie. Dziwisz się, że byłem na niego wściekły? Niestety, kończy się ród Malone’ów. Mój drugi syn jest księdzem, a Erin jest tak zajęta robieniem kariery, że nie ma czasu odwiedzać ojca. Nie mówiąc już o założeniu rodziny.

– Co się stało z matką małej Megan, twoją synową?

J.J. ponownie wytarł nos.

– Niecały rok po śmierci Johnny’ego wyszła ponownie za mąż i wyjechała do Europy. Kilka lat później zginęła w katastrofie lotniczej. Wszyscy odeszli... – Łzy znów nabiegły mu do oczu. Po raz pierwszy w życiu J.J. wyglądał na swoje siedemdziesiąt sześć lat. – Na szczęście zostałeś mi ty, chłopcze. Ty i moja mała słodka Megan. Jedź do Teksasu, Trace. Odszukaj ją i przywieź do domu.